

Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. No. 13. Leszno, dnia 29. Września 1838.



Hof er.

Z moich wspomnień.

(Ciąg dalszy.)

Na samym grzbiecie Timbli spotkałszy pierwszych przekupniów z jabłkami, od południowej strony Tyrolu, w północne jego doliny dążących. Po tak męczącym pochodzie, owoce były dla nas błogiem pokrzepieniem, tém więcej, że w okolicy, którąśmy przeszli, żadnych nie

było. W tych wązkich i wysokich górach, prawie od wpływu słońca zastrzeżonych dolinach, trudno nader, aby owoce dojrzeć mogły, lub przynajmniej bardzo późno. Z Timbli do Moos, po bezludnem, około 8000 stóp nad zwierciadłem morza wyniesionym grzbiecie góry, wiodła ścieżka; cały on mchem porośły; tu i ówdzie tylko przezierały nagie kamienie, jakoby odłamy, świadczące o strasznym niegdyś wstrząśnieniu. W równi z naszymi stopy otwierały się w dali granatowe łoża dolin; nad nami gdzie niegdzie sterczał biały szczyt góry. Takie wolne i czyste było tam powietrze, że pełną siłą płuc go czerpiąc, nasycić się niem było można. Całą atmosferę człowiekby tam chciał lubieżnie (!) w swych piersiach pochłonać, a błoga lekkość, którą czuje do koła, nęci w nim żądze polotu, i budzi prawie w sercu zazdrość dla tego orla, co wystrzywszy na skał wyłomie stepiony swój dziób, tak wysoko w błękitie żegluję, aby wzrokiem swym mógł zadzierzyć wszystkie doliny, i lotem piorunu na nową rzucić się zdobyć. Czyste powietrze w tak wysokich przestworach na mnie, mieszkańca równin wielko-polskich, tém miłsze zrobiło wrażenie; inny rodzaj wolności, zamiast swobodnego kołysania wzroku po jednostajnie uprawnych nieprzejrzanym zagonach naszych równin. Tam w powietrzu w górze przepadał wzrok, żaden obłok nad naszymi nie zawisł głowy; błękit nieskończony otaczał nas do koła, czystszy, ciemniejszy, piękniejszy, jak u nas, bo już spokrewniony z owym lazurowym błękitem włoskiej krainy. Dotąd ukończyliśmy jedną część naszej podróży, przez okolice dziką, mało znaną, bo taki był nasz zamiar, a liczne niewygody, którychśmy doznali, sownie nagrodzone zostały poznaniem krainy, której postać prawie wcale od ludzkiej ręki nie doznała zmiany. Mało też widziałem wiosek i miasteczek, nigdzie prawie uprawionej roli: same jedne w drugie tylko rozgałęziające się wązkie doliny, poprute strumykami, gdzie niegdzie kilkunastu pasterskimi zagrodami upstrzone. Smutne bardzo na wędrowcu czynią tam wrażenie, co kilka tysięcy, a czasem tylko nawet co kilkadziesiąt kroków, jakby złowrogie drogowskazy, po dolinach stojące pale, na pamiątkę miejsca, gdzie kiedyś jaki podróżny, przywalony lawiną, albo strąconym urwiskiem skały, życia dokonał. Na tych słupach zwykle jest odmalowane wydarzenie nieszczęścia i napisane imię nieszczęśliwego i data. Krajowcy z tak religijnem poszanowaniem je przechowują, iż data niektórych, 15go sięga wieku; bo w miejscu pruchniejących, nowe zaraz stawiają.

W niektórych, szczególnie wazkich i stromemi skalami ocienionych dolinach, pale te tak gęsto stoją, iż miejscu niejako smętną postać cmentarza nadają.

W Moos kończy się pasmo Timbli, a strumyk Passeyer otwiera wrota do nowej doliny i swoje jęj imię nadaje. Strumyk ten pod samym Moos dziwnie piękny tworzy wodospad; wymył bowiem, jak studnia w skale, swoje koryto, i u podnóża wioski przez kamienną paszczę porywając z sobą spore kamienie, rzuca się z łoskotem aż na dno przepaści, kilkaset stóp pod górą leżącą, a warcząc po żwirowém łozysku, srebrną swą wstęgą przyozdabia lice dzikiej doliny. Dolina ta tak jest głęboką, iż z Moos do St. Leonhard tylko ścieżką, może na jakie tysiąc stóp nad przepaścią, którą strumyk wymywa, na stromej skalistej ścianie zawieszoną, dojść można. Ścieżkę opatrzone w poręczce dla pewności, bo lubo pomrukiem swym w przepaści grożący strumyk o niebezpieczeństwie ostrzega, widok nań tak ponętny, iż zdołałby odwieść bacność niejednego przechodnia od ostrożności, na tak wąskiej ścieżce potrzebnej. W miejscu, gdzie nowa, od Brennera wiodąca dolina, schodzi się z doliną Passeyer, i tę nagiąwszy, ku Adydze kieruje; pomiędzy trzema narożnikami wyniosłych skał, leży St. Leonhard, wioska pamiętna bitwą i spalaniem w r. 1809; porządna, cała z kamienia murowana. Stanęliśmy przed wieczorem w gospodzie, już pod pewnem godłem, a czystość i świeża, biała pościel na łózkach, przyjemny nam zwiastowała nocleg. Ochoczo zasiedliśmy do wieczery, kiedy nagle ściemniło się w izbie, huk jakby stu gromów zatrząsł podwalinami domu, i wszystkie szyby niestrojnym dźwiękiem zabrzękły. Wybiegliśmy przed dom, aby się przypatrzyć nawałnicy, temu w górach tak pożądanemu obrazowi.

Z wschodu na zachód, płynęła po niebie gromami ciężarna, ciemno-granatowa fala. W powietrzu tęniało, jak w kościele podczas podniesienia. Czasem tylko piorun, jakoby lśniąca głownia sztyletu, rozpruł w wężykowatym zamachu jęj piersi, tchnące ogniem, a łoskot, jak gdyby pękających granatów, w tysiącnych, coraz głębszych, obijał się łonach. Ciężko i poważnie zbliżał się ku nam ten ciemny całun obłoku, a kiedy już nad nami miał zahuczeć, rozdarł się z tysiącem gromów o twarde czoło jednego z narożnych olbrzymich granitów, i w tej samej chwili w ognistą obłok się szatę. Z dala idąc, zakryty za górami, tylko się srożył; ale skoro ujrział zachodzącego słońca oblicze, cały się płomieniem gniewu zalał, i była chwila, w której nawet nas w dolinie, jakoby bengalskie otaczały światła. Wszystko gorzało: strumyk, murawa, krzaki, drzewa, rozpadliny skał, a nawet i zimne granity; ale w kilka chwil skryło się za horyzont słońce; ostatnie jego promienie, ozłociły już tylko zżymającą się na-

wałnicę, i wnet na powrót rozległ się po wyniosłych skał szczytach ten smok powietrzny, ściemnił brwi, lunął rześistym deszczem na doliny, sygnął białym śniegiem na gór wierzchołki i czasem tylko jeszcze zagrział piorunem, jak gdyby w swych szponach wyrwał z odwiecznych łozysk te twarde olbrzymie glazy. Trudno mi znaleźć wyrazów, aby opisać wrażenie, zachodem słońca rozognionej fali; żadne sztuczne oświecenie naśladowałyby takiego złudzenia nie zdołało. Zdawało mi się, że wszystko, co nas otaczało, w tej chwili wyziewało płomienie, a zmiana kolorów obłoku, przypominała mi i sprawdziła w rzeczywistości mego wzroku, ów piękny obraz z Farysa:

*Zaczerwienił się od złości,
Oblat się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał, i w górach
się schował.*

O pół godziny za St. Leonhard, na drodze ku Meranowi, leży w pięknej zagłębinie doliny drewniana zagroda, gospodą *auf dem Sand* zwana. Przed jęj właścicielem, przed dwudziestu kilku laty, w tych drewnianych seranach, przysięgali na krzyż okoliczni Górale, wypędzić z swoich dolin najeźdźcze wojsko. Był to Andrzej Hofer. Na łowach za dzikimi kozami zahartowany, w wdzieraniu się na skały zręczny i wprawny od kolebki, do wolności nawykły, nie mógł znieść zniewagi obcego jarzma; zwołał sąsiadów do obrony własnych siedzib i wnet krwią Gallów zrumieniły się wszystkich dolin strumyki. Tyrolskie Alpy znalazły swego Tella; szczęśliwe stokroć krainy, które nieba uderzyły w szanice i zastępy z granitów; mało tam krwi ich synów popłynęło, sama przyroda wolność im zabezpiecza, kiedy mieszkanięc równin, tylko krwią własnych piersi, nadludzkim męstwem dokupić jęj się może. St. Leonhard było pierwszym świadkiem mekkiego zapalu Tyrolczyków; pierwszy raz nieprzeparte bitnych zwycięzców Marengo bagnety, ustąpić musiały przed celnymi strzałami alpejskich strzelców; i czemuż? wszakże tamtych magnetyzował geniusz wielkiego człowieka; wszakże najświetniejsze nadzieje, buławy, mitry, korony nawet błyszczały w ostrzach ich bagnetów; wszakże raz już zdęptali wyniosłe śnieżnych Alp szczyty, kołami dział rozorali ich dumne czoła; czemuż więc nateczas złoty orzeł wstrzymał się w swym zwyciężkim polocie, czemuż? bo najmężniejszego najeźdźnika oblicze zblednie i znieść niezdolą wyrazu zniewagi w rozjarzonym oku rodzinnych siedzib broniącego męża; bo niemasz straszniejszego wroga, jak przekonanie o własnej niesłuszności. Niechaj się tylko zakradnie w serce człowieka, a wnet największe męstwo w zajądła niemoc się przemieni, i szlachetna dotąd dłoń bohatera, zwyciężkie wawrzyny krwią niewinnych splami. Hanba więc wszystkim, z których winy krew nieśmiertelnego popłynęła Hofera.

Chcieliśmy odwiedzić żyjącą natenczas jeszcze wdowę bohatera Tyrolu; ale mimo, żeśmy aż ku południowi w gospodzie *auf dem Sand* pozostali, niepodobna było jej się doczekać; w lepszym będąc mieniu, wynagradza sobie długim snem przykre chwile, które niegdyś w pracy rąk pędziła. Dopytywałem się o broń Hofera, lub inne jakie po nim pamiątki; wszystkie atoli jego dzieci, w okolicach Wiednia zamieszkałe, z sobą zabrały. Nasz przewodnik opowiadał nam tylko po drodze różne wypadki z owej wojny, w której on, jako chłopczyzna mały, nosząc żywność na góry starszym od siebie, brał udział. Pomiędzy innymi mówił o Góralu z doliny Passeyer, co małą francuzką armatę zdjął z lawetu i w górę uniósł. Pożegnaliśmy progi, w których silne przedsięwzięcie i gorąca miłość rodzinnej ziemi prostych Górali, w bohaterów zamieniła; a że już wiatr ciepły, który Adyga zitalskiej ziemi na swych falach pieści, w coraz bardziej szerzącą się dolinę zawiewał, przyspieszaliśmy kroku, aby jak najprędzej stanąć w Meranie. (Ciąg dalszy później nastąpi.)

P u ł a w y.

(Ciąg dalszy.)

Niedaleko świątyni Sybilli, stoi dom gotycki, lecz drzewa gęste i wspaniałe, ukrywają jeden przed drugim. Wystawiła go także Czarторыska, jak tu napis, na czele będący, świadczy: *Isabella Czarторыska 1809*, w niepospolitym kształcie. Architektura domu tego jest gotycka, ale kształtna; zdaje się być mniejszym, niżli jest w istocie; szczególny i wytworny w zewnętrznych i wewnętrznych ozdobach, zawierał więc, jak Sybilla, skarbów smaku i wykończenia. Poświęcony sławnym i starożytnym pamiątkom wszystkich krajów i wieków; a lubo mieści nieomal wszystkich części świata w sobie zabytki, poznać jednak można, iż go Polka stawiała. Na wystawie te są słowa: „*Sunt lacrimae rerum, et mentem mortalia tangunt.* *)”. Ściany nastroszone są, czyli wysadzone różnemi pomnikami z kamienia, marmuru, cegły, żelaza; każdy z stosownym napisem. Na głównej ścianie następujące ojczyste zabytki:

Cegła z domu Dąbrowki.
Rawał muru z domu, w którym się urodził Kopernik.
Drzwi z najdawniejszej części zamku krakowskiego.
Kamienie z grobu Łokietka i Kazimierza W.
Cegły z mieszkania Jana Zamojskiego.
Rawał marmuru z palacu lubelskiego, w którym unia stała.
Orzeł na blasze, ze starego ratusza warszawskiego.
Galka z kościoła Dominikanów.
Na drugiej ścianie, również jeszcze pamiątki ojczyste, i tak: między niezliczonymi kulami, symbolicznie umieszczony próg z domu, w którym się urodził Kościuszko, i ozdoby z trumny jego.

Na ścianie tej jest taki napis: „*Oby odtąd zwycięstwa nasze zatrząć mogły pamięć kłesk doznanych.*”

*) Maja i rzeczy lzy swoje, i serce ludzkie tykają.

Na innych dwóch ścianach już obce, starożytne i nowocześnie umieszczone pamiątki, mianowicie zaś:

Gruzy palacu Nerona.
Cegły z Bastylii.
Kamień z palacu Cezara.
Ułamek z domu Napoleona na wyspie Elbie.
Brzeg bani winnej, z imieniem dawnego garnarczcy rzymskiego.
Urywek skały z Ameryki północnej.
Kamień z grobu Scypionów i t. p.
Gruzy z kapitolu w Rzymie, z Pompej i Herkulanum.
Marmurowa statua, która niegdyś świątynią Palmyry zdobiła.
Sfinx z kamienia wykuty, na brzegach Nilu znaleziony,
Szczątki starożytnego zamku w Szkocyi.

Wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie domu przewyższa wszelkie wyobrażenie, jakie po zewnętrznych ozdobach powziąć tylko można.

W sali dolnej, jest kilkaset herbów familij polskich, odmalowanych na ścianach; w środku sali pod sufitem stósowny i piękny umieszczono napis:

„*Wszystkiemu, co los zmienia i co czas pożera,*

„*Człowiek tklivém wspomnieniem znikomość odbiera.*”

Niepodobna wyliczyć wszystkiego, co szanowna założycielka tu pięknego i drogiego nagromadziła; samém porządkowaniem przedmiotów jednego przy drugim, zdaje się przemawiać symbolicznie do widzów.

W tej sali z herbami mieszczą się n. p. gałazki za szkłem zasuszone, rwane w miejscach, gdzie niegdyś Troja stała.

Obok kanapy z trzciny po Katarzynie II-giej, uderzają widza dwa naczynia odmiętnością swoją, jakoto: bogaty i ogromny pułar z pokrywką po Augustie II. i flaszka skórzanna niewolnika polskiego. nabyta w Astrachanie przez niego.

Schódki wiodące do górnych pokojów, jak najpiękniej i najrozmaiciiej ozdobione.

Tarcza z dawniej krucyaty; tu obrazy wodnemi farbami ręką sławnego Gessnera malowane.

Wyciski twarzy: Karola XII., Kromwela, Henryka IV., Newtona.

Nad temi schodkami wiszą portrety dzieci Sobieskiego i sławniejszych pisarzy Francyi. Na zakręcie stoją: dzidy mieszkanców wschodu, palki dzikich ludzi Ameryki, chorągiew Karola Śmiałego.

W przedpokoju następujące się mieszczą bogactwa: Na jednej ścianie wisi kobierczyk turecki, na nim złotem, srebrnem i jedwabiem szyty wiersz z alkoranu.

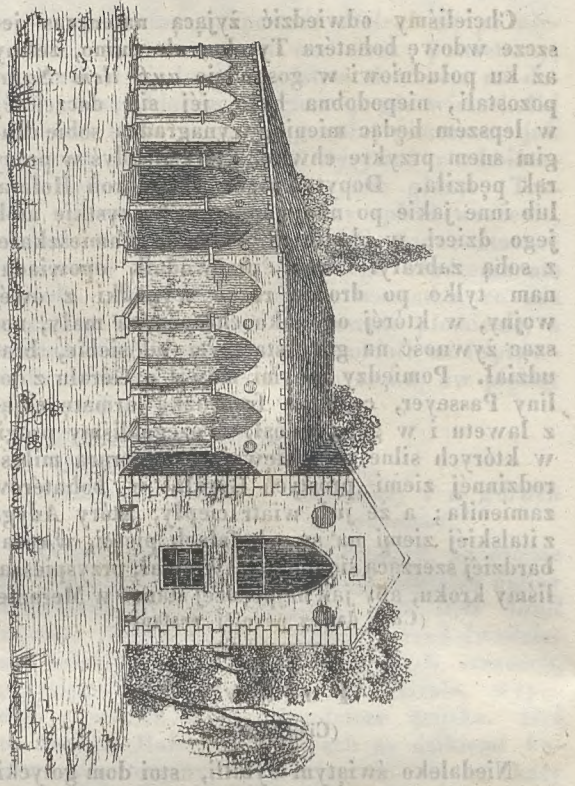
Na drugich ścianach wisi, leży, stoi w rozmaitym układzie i kształcie, broń rozmaita po sławnych królach i wodzach, mianowicie: Kawalek zbroi Gottfryda de Bouillon.

Ogromny pałasz po Templaryuszach.
Szpada Marcina Lutra, z czasów jego jeszcze studenckich.

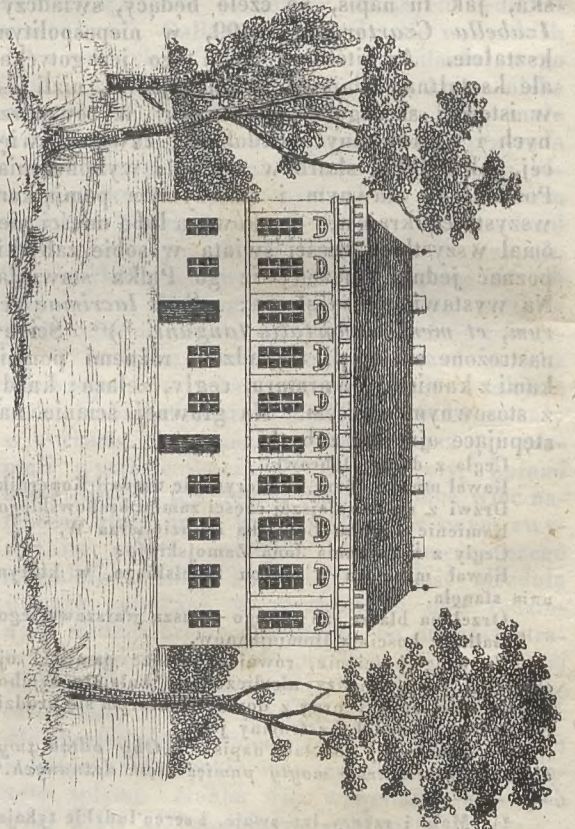
Kordylas Kooka.
Szpada Ludwika XIV.
Rzesełto ogromne, bogate, pozłacane, po królach węgierskich.

Taboret prosty po Fryderyku Wielkim.

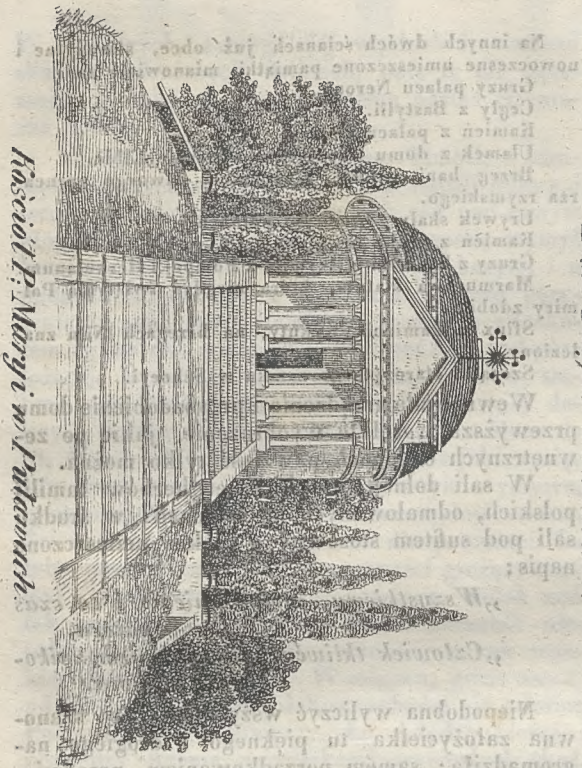
Z tego przedpokoju wchodzi się do najpiękniejszego pokoju z całego domu. Okna, ozdoby i sprzęty, wszystko w nim gotyckie, lecz z największym smakiem i świeżością wykonane; gaulerya bardzo kształtna, dzieli go na dwie po-



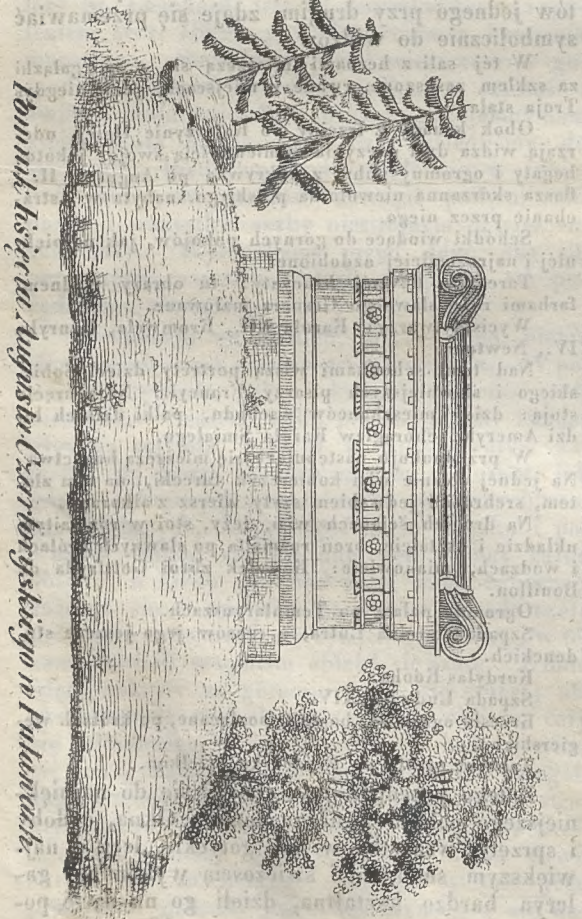
Dwór Łęczyński w Putawach.



Archibutum w Putawach.



Kościół P. Marii w Putawach.



Domnik kościoła Augusti i Karłowskiego w Putawach.

ławy; na dwóch lekkich słupach oparte są, na jednym znaki niewieście, a na drugim rycerskie, z godłem xiażąt Czartoryskich: „*Badź co bądź.*”

Ściany, wybite zielonym aksamitem, zawieszono są drogiemi i starożytnymi obrazami, familijne xiażąt Czartoryskich, hrabiów Flemingów, portrety *): Maryi Sztuart, Wilhelma Tella, Marcina Lutra, Krzysztofa Kolumba i wiele innych wizerunków, pięknych zabytków malarstwa, i t. p. Szafy wspaniałe i gustowne, mniejsze i większe; jedna z nich bogata, była własnością Zygmunta Augusta. W tych szafach tysiące sprzętów rzadkich i drogich:

Filiżanka Washingtona.
Bogaty ołtarzyk Piotra Wielkiego.
Strzała Wilhelma Tella.
Pióro Woltera.
Butelka kryształowa Franciszka I., króla Francji.
Tabakierka nieszczęsnego Tipoo-Saiba.
Sławnych kochanków popioły i pamiątki w kosztownych naczyniach: jakoto:

Helojzy i Abelarda,
Romca i Julii,
Petrarki i Laury.
Pukiel włosów Maryi Sztuart i jej książka do nabożeństwa.

Używana przez Franklina machinka lepszego widzenia.

Sławniejsi ludzie mają osobne swoje szkatułki: i tak: W szkatulce Napoleona jest jego sztuciec, czapeczka, pióro, którem zręcznie się tronu podpisał, listy własnoręczne, sztuki monety z jego wizerunkiem.

Po Janie Jakóbie Russo jest cały jego ubiór wieśniaczy, w którym był chrzczony; nóty, których przepisywaniem zarabiał sobie na życie, i wiele innych pamiątek.

Są także pamiątki po Götem, Walter Skocie, Torkwacie-Tassie, Szylersze, Szekspirze, Delillu i t. p. Obok tego pokoju jest gabinet, w którym równie kosztowne i rzadkie pamiątki.

Miedzy wielu drogiemi malowidłami znajduje się portret Rafaela, przez niego malowany. Krzesło Szekspira, Russa i Woltera stołki, zbiór książek do nabożeństwa, różańców, paciorków kosztownych po różnych sławnych osobach; szkatulka księcia Józefa Poniatowskiego, koralami wysadzona; w niej mundur, w którym utonął.

Jak w Sybilli, tak też i w domu gotyckim znajdowały się wielkie skarby w rękopismach, listach i pismach własnoręcznych wielu królów, sławnych mężów i pisarzy, dawnych i tegoczesnych.

Księgozbiór puławski, umieszczony w gmachu, nazwanym archiwum, na rycinie tu oddanym, był jednym z najbogatszych w Polsce, mianowicie od złączenia go z księgozbiorem z Porycka, który uczony Czacki xiażęciem Czartoryskim przekazał. Zawiera on w sobie najkosztowniejsze i najrzadsze księgi i rękopisma.

Na górze stoi piękny kościół Panny Maryi, na rycinie wyobrażony, wystawiony przez syna, na pamiątkę matki, Maryi z Sieniawskich Czar-

*) Jedną z rodziny Flemingów była dama honorową, dworu nieszczęśliwej Maryi Stuart, i dała jej szczególne dowody przywiązania. Walter Skot chlubił ją w swym romansie *the Abath* wspomina.

toryskiej, i oddany opiece Boga Rodzicy. Budowany na podobieństwo Kapitolu w Rzymie; kolumny porządku korynckiego; posadzka z marmuru krajowego; sklepienie śmiało wykonane.

Pod cienistemi, drzewami na pagórku zielonym, wznosi się pomnik księcia Augusta Czartoryskiego, na wzór pomnika Scypiona, z marmuru kararyjskiego wykowany, jak go nam rycina przedstawia. Znanie powszechnie jest pełne zasług tego wielkiego męża życie, godny wielkości jego pomnik.

Ogrody, parki i wszelkie inne przyozdobienia Puław, są jak najszcześliwiej wykonane; każde miejsce, każdy widok jak najdoskonalej użyty i bez przysady upiększony. Gdziekolwiek się spojrzy, wszędzie wszystko jest dowodem najlepszego gustu, najdelikatniejszych i najslachetniejszych uczuć założycielki.

Ogród w Puławach najpierw Niemiec *Pope*, ogrodnik, zakładał; później Anglik *Savage* (Sawicz) dokończył jaknajdokładniej wszystkiego.

Prócz budowli powyżej już opisanych, zasługuje na uwagę pałacyk księżnej Maryi Anny z Czartoryskich Wirtemberskiej, Marynki od niej nazwany, i przez nią wystawiony, z pięknym angielskim ogrodem, graniczącym z wielkim parkiem puławskim: leży nad odnogą Wisty.

Nad portalem tego pałacu, stoi wiersz z Horacego: „*Iste terrarum mihi praeter omnes angulus ridet.*” *) wyjątek z Horacego, przez uczonego plebana międzyrzeckiego, Piamowicza, szcześliwie podany.

W ogrodzie puławskim, w miejscu szczególnie obfitem w bogactwa roślinne, umieszczony jest przez księżną feldmarszałkową napis: „*drzewom, krzewom i kwiatom, których hodowanie było zawsze mym ulubionem zatrudnieniem. One wspominają mi lepsze od obecnych czasy, one doczekają może szcześliwszej przyszłości!*”

(Ciąg dalszy później nastąpi.)

Józef Borusławski.

(Ciąg dalszy.)

Za przykładem cesarzowej, wielu panów i pań obsypywało mnie grzecznościami i podarkami. Byłem wszędzie żądany, pieszczony: przecież mimo tak świetnych powodzeń, gorzkie uczucia zatrzymały mi życie. Zaczęłem ja miarować, że prawie wszyscy uważali mnie jako cacko, jako lalkę, doskonalszą, dziwniejszą od najsztuczniej sporządzonych; ale przecież nie dzieli nigdy we mnie istoty równej im, lubo mniejszej. Raz szczególnie boleśnie przekonałem się o tém. U pani Humieckiej zebrało się kilka osób najznakomitszych; nie zważając bynajmniej na obecność moją, tak, jak gdybym słucho i rozumu nie miał, zaczęto mówić o kar-

*) Ten zakątek najbardziej z wszystkich na ziemi do mnie się uśmiecha.

łach i o mnie. Jedni utrzymywali, że karły żenić się nie mogą, zwłaszcza między sobą; drudzy twierdzili przeciwnie; a gdy pani wojewodzina wspomniała, iż mam siostrę jeszcze mniejszą od siebie, i że już nie raz przychodziła jęj myśl złączenia nas; wszyscy owi panowie i panie zaczęli ją namawiać usilnie, ażeby ten zamiar doprowadziła do skutku; a przytęm uwagi ich i wnioski były takie, iż nawet powtarzać ich tu nie śmię. — Nigdy jeszcze nie był uczuł tak żywo, jak wtedy, ponizenia mego. „Jak to, po-
myślałem w sobie, płacząc gorzko w kącie „pokoju — nie dosyć, że mnie uważają jako nie-
„wolnika, którym bez jego woli i wiedzy roz-
„rządzić można; ale nawet nie uznają we mnie
„człowieka, istoty moralnej, i myślą, że ze mną
„jak ze zwierzęciem obchodzić się godzi.“ —
Te myśli taką boleścią mnie przejęły, iż skoro
rozjechali się goście, opiekunka moja dostrzegła
stanu mojęj duszy; musiałem jęj wyznać przy-
czynę głębokiego smutku; i nie uspokoiłem się,
póki mnie nie zapewniła, że jedynie dla zabawy
i na żart wspomniała o połączeniu mnie z sio-
strą, i że do tego nigdy nie przyjdzie, ani
przyjść może.

Opuściwszy Wiedeń i objechawszy różne
miasta niemieckie, najmilszym dla mnie wypad-
kiem było przybycie do Lunewilu, gdzie trzy-
mał dwór swój Stanisław Leszczyński, a gdzie
jako Polakom, we własnym pałacu mieszkać
nam kazał. — Nie mogłem się wstrzymać od
najwyższego podziwienia, na widok szanownego
starca, który po tyle burzliwem życiu, używał
jeszcze w ośmdziesiąciu leciech, wszystkich władz
umysłowych, a obracał je tak przykładnie ku
szczęściu swoich poddanych. — Szlachetna jego
postawa, pogoda twarzy, uprzejmość mowy i
obejścia się, szczególnie mnie ujęły; i nie dzi-
wiłem się wrazeniu, jakie niegdyś sprawił na
Karolu XII., który widząc go i rozmawiając
z nim po raz pierwszy, rzekł do otaczających
go generałów: „*Tęgo zrobić królem polskim.*“
Wszystko, com widział w Lunewilu i w Nancy,
nierównie wyższem i lepszem mi się wydało,
od tego, com widział po innych dworach.

Stanisław Leszczyński miał także karla przy
sobie, głośnego Bebe *); do tęg pory uchodził
on za najosobliwszego w swoim rodzaju, i
w rzeczy samęj był doskonałego składu i wcale
miłęj twarzy; lecz charakter jego (z wstydem
wyznać mi to przychodzi) odznaczał się szpe-
tnością. Miał wszystkie wady zwykłe karłom
przypisywane; był zazdrośny, gwałtowny, mściwy.
Dochodził on już lat trzydziestu, a nie prze-
szedł jeszcze dwóch stóp i ośmiu cali, z czego
niezmiernie był dumny; gdy jednak zmierzyl
się ze mną, okazało się, że o cztery cale był
mniejszy — prawda też, że wtedy nie miał
lat dwudziestu. — On nie zważając na to, znie-

nawidził mnie od tęg chwili; a gdy jeszcze po-
strzegł, jak bardzo król mnie polubił, przejął
się zjadliwą zazdrością; i do tego przyszło, iż
kiedy raz znalazłem się z nim sam w królew-
skich pokojach, ujawszy mnie z nienacka i silnie
za nogi, chciał koniecznie rzucić mnie w pałacy
się ogień na kominie. Szczęściem uchwyciłem
się mocno żelaza, o które opierają zwykłe szczypce
i łopatkę, i zacząłem krzyczeć w niebo głosy.
Sam król przybiegł na mój ratunek i wybawił
mnie. — Bebe srogo ukarany został za swój
niecny postępek. Stanisław zakazał pokazywać
się mu na oczy; przecięz na usilne prosby moje
obiecał przepuścić go do oblicza swego, ale pod
warunkiem: że mnie przeprosi w obec całego
dworu. Uczynił to Bebe, lecz z takim przy-
musem i wstrętem, iż wnet wpadł w chorobę,
z tęg umarł. — Nie bez przyczyny mówią
o ludziach naszego wzrostu, jakoby w nich
namiętności były gwałtowne; jam na sobie tego
nieraz doznał, ale Bogu chwala, panować im
dotąd umiałem.

W Lunewilu poznałem sławnego hrabię *de Tressan*; wielce się mną zajął, uważał mnie i
badał pilnie; dostarczył też potęm wydawcom
encyklopedyi artykułu o karłach, w którym ko-
rzystnie wspomniął o mnie. **)

Napatrzywszy się wszystkiego, co było do
widzenia i uwielbienia w Lunewilu i w Nancy,
pożegnaliśmy dobrego króla, który dać raczył
opiekunce mojęj listy zalecające do córki swojęj,
w ówczas królowęj francuzkiej; z niemi udali-
śmy się prosto do Paryża.

Łatwo zgadnąć, iż pierwszem staraniem pani
Humieckiej było, jechać do Wersalu, gdzie prze-
mieszkiwał dwór Ludwika XV. Tam, jako Polka,
pewną być mogła łaskawego u królowęj przy-
jęcia, cóz dopiero, kiedy niosła listy od króla,
jęj ojca.

Marya Leszczyńska zachowała wiele przy-
wiązania do tego wszystkiego, co polskiem było;
powitała przeto panią Humiecką z wielką uprzej-

*) Oto parę wyjątków z tego artykułu (*Enc. V. XI. p. 4*). „Rzecz pani hrabiny Humieckiej, pan Bora-
slawski, szlachcic polski, różni się bardzo od karla
króla Stanisława, i może być uważany jako istota
wielce zadziwiająca. Ma dziś (1760) lat 22, wysokości
28 cali; bardzo jest kształtny, głowa proporcjonalna,
oczy dosyć piękne, wyraz twarzy miły; nogi, ręce,
w miarę do wzrostu. Pije samą wodę, je mało, spi
dobrze, trudy wszelkie znosi i jest zdrow zupełnie.
Do uprzejmego ułożenia, łączy dowcipne odpowiedzi;
pamięć ma dobrą, zdrowy rozsadek, serce czule i do
przywiązania się zdolne. Edukacya jego długo była
zaniedbana; teraz umie czytać, pisać, arytmetykę, po-
niemiecku i po francuzku, i bardzo jest zreczny do
wszelkich robót. To już godne zastanowienia w matce
p. Józefa Boruslawskiego, że sama będąc słusznego
wzrostu i takiegoż mając męża, urodziła troje dorodnych
dzieci i troje karłów; rodziła je wszystkie w porze
przystojnej, ale karły przychodziły na świat do bo-
skiego stworzenia niepodobne; głowa schowana w ra-
miona, nogi zupełnie skulone; dopiero z wiekiem się
rozwickały i wszystkie wyrosły kształtne, choć małe.

*) Mikołaj Ferry, przydomek Bebe. Jest portret
jęgo robiony z natury w muzeum wersalskim: *siem ob*

mością. Dowiedziawszy się, że ma z sobą w Paryżu osobliwego karla, chciała koniecznie mnie poznać. — Kiedym jęj przedstawiony został, dziwiła się niezmiernie nad małością moją; a wypytując mi się obszernie o króla, ojca swego, o Polskę, o Bebege, o podróże moje, tak była rada odpowiedziom moim, iż mnie przeważała zupełnym cudem. „Po tém wszystkim, „com kiedykolwiek o karłach słyszała,“ rzekła, „sądziłam, że rozum ich idzie w parze ze wzrostem; bardzo mi jest miło przekonać się o mylności tego zdania.“ I to powiedziawszy, prosiła pani Humieckiej, żeby ją odwiedzała często, a mnie zawsze przywoziła z sobą.

Za powrotem naszym do stolicy, ciekawość widzenia mnie zwabiła opiekunce mojej odwiedzin aż nadto. Co tylko było u dworu i w mieście osób przyzwoitych, wszystko to zajeżdżało do niej, dla mnie. Pochlebiała ta wziętość mojej miłości własnej, ile, ze najznakomitsi panowie, jako to książę Orleanu i jemu podobni, obchodzili się ze mną jak najlaskawiej. I od rodaków goszczących w Paryżu, nie mniej doznawałem względów; w ich liczbie wspomnieć muszę o hrabi Ogińskim, wielkim hetmanie litewskim, który tak mnie polubił, iż sam zaczął mnie uczyć muzyki; wielkim będąc mistrzem i znawcą, obaczywszy we mnie zdatność, namówił z łatwością panią wojewodzinę, aby mnie kazała uczyć grać na gitarze. Na jego tedy wstawienie się, brałem lekcye od sławnego *Gavinies*, i nabyłem talentu, który później stał mi się równie użytecznym, jak miłym. Pan hetman Ogiński różne zabawy stroił sobie ze mnie. Pamiętam, raz, dał wielki obiad najznamienitszym damom francuzkim, a mnie schował w wazę srebrną i postawić kazał na środku stołu. Gdy wszyscy zasiedli, zaczął pobudzać ciekawość gości, zapowiadając im niepospolity z owęj wazy przysmak. Każdy chciał, aby do niego natychmiast przystąpić; on wzbraniał się chwilę; nareszcie za umówionem słowem podniosłem się w wazie, zrzuciłem pokrywę i wyskoczyłem na stół. — Wszyscy zdziwieni niesłychanie, krzyknęli; kilka dam, które mnie jeszcze nie widziały, zabierały się do ucieczki, myśląc, że djabełka widzą przed sobą; ale wnet się uspokoiły, gdy m do nich grzecznie przemówił.

Ów obiad rozgłosił jeszcze więcej moje imię; i przyszło ztąd do wypadku, który, gdyby nie takt i dobroć królowej Maryi Leszczyńskiej, byłby mógł przykre mieć skutki dla mojej opiekunki.

Trafiło się, iż księżna Modeny, dama krwi panującej, nie widziała mnie jeszcze, a wielką miała do tego ochotę. Ród wysoki, nie dozwalał jęj oddać wizyty pani Humieckiej; napisała więc do niej, zapraszając do siebie na wielkie zgromadzenie wieczorne, a w końcu listu dodała: „*Mais surtout n'oubliez pas d'amener Joujou,*“ (bo Joujou zwano mnie po-

wszechnie i bardzo rzetelnie). Pani wojewodzina obraziła się owém, tak wyraźnem okazaniem książęcém, iż ją zapraszają najwięcej dla mnie; odpisała tedy zimno, jakoby inne mając zaprosiny na ten dzień i na następujące, odmówić musi, i nie wie wcale, kiedyby mogła być u księżnej. Księżna odgadła urazę i powód do niej; mocno rozgniewana, skarżyła się przed wszystkimi, i pojechała z umysłu do królowej, żądając od niej, ażeby, jako Polce, zganiła pani Humieckiej, jęj postępowanie, i rozkazała jęj przywieść mnie do niej.

Królowa ceniła wysoko rodaków swoich i ubliżać im nie dała; ale z innej strony nieprzyjaciółką była wszelkich poróżnień i plotek. Przeto na taki wzięła się sposób. Grzecznym listem zaprosiła do siebie panią Humiecką na śniadanie, i jakby od niechcenia wspomniała i o mnie. Na tenże sam dzień posłała zaprosiny księżnej Modeny, nie wspominając jęj o niczem. Na godzinę naznaczoną, przyjechaliśmy do Wersalu; a wkrótce po nas, z wielkiem zadziwieniem ujrzelśmy wchodzącą księżnę Modeny. Ona niemniej się zdziwiła, postrzegłszy panią Humiecką. Lecz w obecności królowej, obie damy nic przykrego powiedzieć sobie nie mogły; owszem na taki tór wprowadziła je grzecznie, iż na wzajem komplementa sobie mówić zaczęły. Księżna do tego nawet stopnia delikatność swoją posunęła, że nie zaraz wspomniała o mnie; ale zadosyć uczyniwszy przyzwoitości, dowiodła wnet słowy i pieśczętami, ilem ją zdziwił i zajął.

To zdarzenie głośnie, jak zwykle plotki dworskie, dopełniło wziętości mojej w Paryżu; wszedłem zupełnie w modę; wyrivano mnie sobie, żadna zabawa obejść się bezemnie nie mogła; podziwiano prawie więcej dowcip mój, wesołość, grzeczność, niżeli drobną i szczególną urodę; panowie francuzcy wspaniałe uczyły dla mnie dawali; jeden z nich, dzierzawca jeneralny, pan *Bouret*, wyprawił raz obiad wytworny; a chcąc dowieść, że dawał go jedynie na cześć moję, wszystko kazał sporządzić stósowne do mego wzrostu; zastawa stołu, sztucce, inne porządki, potrawy nawet, wszystko było drobne i malenkie, a wykwintne; pamiętam, że największą zwierzyną na tym obiedzie, były ortolany i skowronki.

Po całym roku równie świetnych zabaw i powodzeń w Paryżu, pojechaliśmy do Hollandyi, gdzie nas przyjął bardzo dobrze Statuder; zamtąd przez Niemcy wróciliśmy do Polski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika literacka.

„Wybór prozy i poezji polskiej, dla niższych klas gimnazjalnych i wyższych szkół miejskich, wydał A. Popliński, prof. gim. katol. w Poznaniu, 1838 r.“

Wszyscy gorliwi nauczyciele, a bardziej jeszcze myślący rodzice, ubolewają na niedostatek książek elementarnych, któreby ułatwiały trudne nauk początki, obudzały ciekawość dzieci, i dodawały ochoty uczącym się. Kto wie, ile corok podobnych książek wychodzi za granicą, ten się zadziwi, gdy usłyszysz, że u nas zaledwie jedno, lub dwa dziełka tego rodzaju, i to w różnych częściach dawniej Polski pojawia się rocznie. Zład, niestety! można sobie wytłumaczyć także owo lgnięcie do cudzego towaru, w niedostatku własnego. Czasby był jednak wyzwolić raz na zawsze od tej szkodliwej opieki, czas mówić pomyśleć o tém, czybysmy o własnej sile wzrastać i kształcić się nie mogli. Z tego względu radbym zwrócił uwagę ziomków moich, a zwłaszcza literatów, na zaniedbaną dotąd zupełnie niwę, na brak dobrych książek elementarnych. Jest to przedmiot największej wagi, bo od niego zależy nietylko postęp oświaty w następnych pokoleniach, ale nadto pielegnowanie języka ojczystego. Kto pojmuje wagę tej sprawy, ten przyzna, jaką przysługę świadczą młodzieży ci uczeni mężowie, którzy nas elementarnymi dziełmi zbogacają. Już kilka tego rodzaju książek, nie tłumaczonych żywcem z niemieckiego, lub francuskiego, ale oryginalnie pomyślanych i wypracowanych, zjawilo się w ostatnich latach.

Wyżej wymieniony *Wybór prozy i poezji A. Poplińskiego* należy, naszym zdaniem, do szczupłej liczby dobrych elementarnych książek, z której dzieci już umiejące trochę czytać, dalszą ojczystego języka i myślenia czerpać mogą naukę. Obszerniejszy rozbiór tego pożytecznego dziełka, przechodzi granice naszego pisma; przeto mówiąc tylko ogólnie, uwazaliśmy, że i wybór treści stosowny, i stopniowe od łatwiejszych do trudniejszych przejście, naturalne. Poetyczna część, aczkolwiek krótsza, niemniej ważna, zawiera wiele poezyj, z kąd inąd mało u nas znanych, a mających prawdziwą poetyczną wartość. *)

K. T.

Powitanie.

Był dzień niedzielny, o jesienną porę:
Na zachód słońce w las bukowy tonie,
Przedsenne pieśni ptastwo kwili w borze
I ptak w przedsenne otoczył się wonie.

*) Dostać można w księgarni Günthera w Lesznie; kosztuje złp. 4.

Niewinnem szczęściem grzmi pobliskie sioło,
Skrzypek w najlepsze wygrywa w gospodzie;
Młodzież wśród płasów wyrzeka wesolo,
Starzy o wojnie gawędzą przy miodzie.

Wszędy wesele, a nie ujrzyś troski,
Bo praca darzy niebianską pociechę
Serca pocziwie. W pośrodku tej wioski
Stał dom drewniany, pod słomianą strzechą,

I był jak inne poziomiej prostoty;
Tylko dostatek większy go otacza,
Bujańszczy sadek, dłuższe ulów rotę,
I porządniejszy cały sprzęt oracza.

W chacie zaś, ściany śnieżno ubielone,
Zajeli święci w jaskrawej odzieży;
Tam przy kominku widać kmiotka żonę,
Jak koło skromnej krząta się wiecerzy.

A śród podwórka na miękkiej murawie,
Dzieczę starego Brysia wodzi w tany;
A pod okienkiem na debowej ławie,
Siedzi gospodarz smutny, zadumany.

Czegoż on smutny? ... wszak w jego stodole
Plenny dar boży, sad purpurą ploni,
Błoga nadzieja zieleni się pole,
Zdrowy dobytek, pszczołka złotkiem dzwoni.

Czego on smutny? on który w wesele,
W radę i meżne bogaty uczucie;
Dziś bez gawędy poszli przyjaciele;
Czy miał przecucie? ... musiał mieć przecucie.

Bo kiedy nagle pies skoczył do sadu,
I skomlać ścieżką pobieżał na pole,
Zadrzał; jakoby myśl wyrwał z nieladu,
Który od rana ciążył mu na czole.

I słucha, jako donośnie czekanie
Raptem w piskliwe, ciebie tony spada,
Jak gdyby radość, żal czy powitanie;
A wtem dziewczeczka zadyszona wpada.

I woła: „tato ... o! tato ... tam ... w bramie ...
„O! tam ... Bryś wita ... o! lecę do mamy ...
„Jaś wrócił z wojny ... o! ja powiem mamie ...
A nasz gospodarz już stoi u bramy.

A przed nim młodzian przeslicznej urody,
Płaszcz nad wzniośle otulił ramiony;
Twarz jego błada, zapadłe jagody,
Jakby był ciężką chorobą znudzony.

I stoją oba, — lecz stoją w milczeniu;
Synowi łzami żreniecia zabiega,
A ojciec zda się szukać w tém spojrzeniu,
Co w nim ma witać, zwyciężce, czy — zbiega.

I milczą jeszcze, a już chatki ściany
I sad drzącemi, matczynemi słowy
Brzmi do okola: „gdzie mój Jas kochany! ...
„Gdzie on jest ... gdzie on! ... czy mi wraca zdrowy? ...

„Czy już niepojdzie? ... a gdzież on jest przecie! ...
„Już mi go wszyscy witali o! Boże.
„Ach! ... jaki blady, co ci jest me dziecko!
„Czyś ty chorował? ... czyś ty chory może!

„Czegoż tak stoisz niemy i zmieszany!
„Gdybys ty wiedział ... o! dzisiaj nie o mnie ...
„Wszak już zostaniesz ... prawda mój kochany? ...
„O! jam szczęśliwa! ... pójdz do mnie, pójdz do mnie!

I już go ściska, już tuli do łona;
Lecz gdy się w szczęściu matki nie posiada,
I płaszcz rozrywa, co mu krył ramiona,
Z krzykiem rozpaczy u stóp syna pada.

A ojciec obie załamuje dłonie;
Dwa mu po leach łez płyną strumienie;
I syn znów stoi samotny na stronic,
I znów długie, grobowe milczenie.

A u ramienia, tam gdzie ręka prawa,
Cały majątek biednego człowieka,
Z wiatrem mu kawał powiewa rękawa,
Pusty, jak ten grób, co ofiary czeka.

J. N. J.